



PIOTR WŁÓDARCZAK

ZOO-zwierzenia zootechnika

Lądowanie
w Canberze

Canberra to jedno z najfajniejszych miejsc w Australii, ciche i klimatyczne.

Samolot linii *Virgin Australia* zbliżał się do płyty lotniska w Canberze. Niewiele wie, że *Virgin* to druga największa linia w Australii, a także mało kto wie, że Canberra jest stolicą Australii! Tak, wcale nie Melbourne ani Sydney. Przed nami Canberra, stolica Australii. Po wysokich wieżowcach i przepelnionych ulicach tętniących życiem w Melbourne patrząc na Canberę z lotu ptaka niewiele widać. Właściwie wszędzie wokół rozciąga się las eukaliptusowy na pofałdowanym, górzystym terenie. *Hm..., gdzie jest to miasto? Co to w ogóle za wioska?* – myśli przelatujący przez mózgowicę, ale chyba pilot sam lepiej wie gdzie ma lądować. Skoro twierdzi, że tutaj jest stolica jego kraju, to niech mu będzie.

No i faktycznie, Canberra jest właściwie mało zauważalna, wciśnięta w kąt na trasie



między Melbourne i Sydney, a do miasta wiedzie w zasadzie jedyna droga. Turyści lubią ją omijać, co ma swój plus. Miasto jest zwykle, sennie, przestrzenne, z niską zabudową. Niektórzy złośliwi twierdzą, że to w ogóle nie jest miasto, ale ledwie park z elementami infrastruktury, podczas gdy inne miasta mają, co prawda, parki, ale to nie one rządzą w mieście. Tak wymyślił so-

bie to miejsce jego twórca – amerykański architekt *Burley Griffin*. Ciekawe jest to, że sam twórca wizji miasta, po wygraniu konkursu, wziął się za realizację planu, ale wiele biurokratycznych problemów, klótni i I wojna światowa storpedowały jego plany. Architekta zwolniono ze stanowiska budowniczego zanim ukończył dzieło. Właściwie go nie widział.

Jeśli jedzie się przez miasto autem, ma się ochotę zapytać napotkanego człowieka (o co jest trudno): „*panie, gdzie ta Canberra?*”. Wtedy on niechybnie odpowie: „*już dawno w niej jesteś... i nie rozpędzaj się, bo zaraz z niej wyjedziesz?*”. No i tak już jest z tą miejscowością, liczącą około 500.000 mieszkańców. Żyją w niej urzędnicy i dyplomaci, dla których wybudowano wielkie sztuczne jezioro – Griffin, żeby się nie nudzili i nie wpadali w melancholię (Canberra nie leży nad oceanem). Miasto „kamufaż” nie rzuca się w oczy, ma sieć dróg szybkiego ruchu, stary parlament, nowy parlament, kilka marketów, muzeów i git. W nocy nic się nie dzieje, a spać idzie się o 22:00. Żeby dostać dobre wino, trzeba znać lokalne meliny.

Może dlatego, po wylądowaniu, jedna z pań zerwała się do galopu i rozpychając





wszystkich pasażerów na schodach wiodących z pokładu samolotu na płytę lotniska, biegła z oznakami paniki w oczach i krzyczała do obsługi naziemnej: „Halo, czy to jest Canberra? Czy można już wysiadać?” A co ma być, skoro w Melbourne wsiadała do samolotu lecącego do Canberrę! No to musi być Canberra! Może myślała, że czynimy po drodze jakieś przystanki w lesie i że jeszcze polecimy dalej. Ale, ale, teraz powiem Wam, że Canberra to jedno z najfajniejszych miejsc w Australii, według mnie przebija Melbourne i Sydney, miejsce ciche i klimatyczne. Nigdy nie omijaj tego miejsca! Według Aborygenów to miejsce spotkań, więc przybywajcie!

Zosia wita nas w Canberze

Naszym przewodnikiem i *driverem* była 72-letnia Zosia, polska emigrantka w Australii, która podczas swego zawodowego życia była wysoko postawionym urzędnikiem pracującym dla Ministerstwa Zdrowia i przemierzała każdy kawałek Australii, aby kontrolować strumień państwowych pieniędzy zasilający różne lokalne programy zdrowotne. Była pełna werwy i energii, nie było dla niej rzeczy niemożliwych do wykonania.

- *Mieszkam w Canberze od ponad 20 lat*” – zaczęła swoją wypowiedź, „*ale jak nie macie GPS-a, to nie pojedziemy*” – skonstatowała. A już myśleliśmy, że gładko pójdzie. Nasza precudowna towarzyszyca zapakowała nas do mało popularnej w Australii *skody* i pojechaliśmy w miasto..., tzn. jakąś drogą prosto przez las. Była niedziela, późne popołudnie, duszno i gorąco, no i rozpętała się burza z rześną ulewą i piorunami wijącymi się na niebie. Zosia była niezadowolona, bo pędziła przekraczając wszystkie *speed limity*, mówiąc przy tym, że spoko, auto ma dobre hamulce, ale niewiele widziała przez zaparowaną szybę auta. Ciągle rozglądała się na boki,

ale nie zwalniała, no bo po co? Jednocześnie raczyła nas opowieściami ze swojego barwnego życia i potrafiła się przy tym nagle odwrócić do nas – siedzących na tylnym siedzeniu – żeby jeszcze trochę sugestywnie gestykulować, a także usiłowała odczytywać nadchodzące smsy, a pędzące auto żyło swoim życiem. Poza tym stwierdziła, że na pewno jesteśmy głodni, a przecież sklepy w Australii były już w większości zamknięte. Mówiąc sklepy mam na myśli duże markety, bo w krainie kangurów nie ma żadnych sklepów w rozumieniu polskim. Takie wynalazki są nieznanne. Grzaliśmy więc do ostatniego otwartego jeszcze marketu sieci *Cooler*, żeby coś kupić na kolację i śniadanie. Niestety, nie było piwa, bo alkohole sprzedaje się w odrębnym przybytku, a był już definitywnie *closed*.

Zosia miała jedną podstawową cechę: wszędzie wozila nas pod same drzwi, pod same wejście, no bo wyznawała zasadę, że po co chodzić? W słońcu? Tylko jakieś głupki chodzą w takich warunkach. No i lubiła się o wszystkim pytać, wzbudzać zainteresowanie i zamieszanie, wpadała więc do różnego rodzaju przybytków, aby rozstrzelać tam wszystkich serią pytań jak z kałacha. Gdy ktoś udzielił jej szybko informacji była niezadowolona, bo ona lubiła te wiadomości po prostu z człowieka wy-cisnąć.



Śpimy na plebanii

Trafiliśmy do polskiego kościoła położonego na rubieży Canberrę. Dwóch księży prowadzi tutaj dom dla pielgrzymów, pokoje są 4-5-osobowe, śpi się na piętrowych łózkach, a po pobycie trzeba samemu zmienić pościel. No, porządek musi być! Księża uwielbiają wino, ale i piwo mają w swojej lodówce. Z lodówki można brać wszystko: wodę, napoje i piwo, ale trzeba wrzucić za to kilka dolców do specjalnej skrzynki z napisem: „*pamiętaj, nie kradnij*”. Po przybyciu nasza Zosia od razu bezpardonowo zaatakowała księdza, żeby dał nam piwo, bo przecież jesteśmy strudzeniu po podróży, a on go nie potrzebuje. W końcu zgodził się, żeby skorzystać z jego zapasów w lodówce, jeśli wniesiemy stosowną opłatę w skrzynce.

Cała posesja miała kształt kwadratu, pokoje były na obrzeżach połączone drewnianą werandą, a w środku był ogród, w którym za dnia królowały papugi: *rozelle białolice* i *lorysy tęczowe*. Dla mnie super.

Atrakcje Canberrę

Jak już wspominałem, to dziwne miasto, a powstało przez spory między Melbourne a Sydney o to, które z nich ma być stolicą. Australijczycy pomyśleli, że ani tu, ani tu, że gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta i wybór padł na teren między tymi miastami. I tak na początku XX wieku powstało Australijskie Terytorium Stołeczne. Poza tym Melbourne i Sydney można by zdobyć z oceanu, nad którym leżą obie aglomeracje, a Canberra jest trudno dostępna, zamulowana w górach, w trudnym lesistym terenie. Nikt jej nie znajdzie, bo żaden wróg nie pomyśli, że tam może być jądro tego kraju.

Zwiedzić miasto można w jeden dzień, a na turystycznym szlaku leży stary parlament i nowy parlament – oddalony od tego pierwszego o kilka rzutów beretem (to tak zwany Trójkąt Parlamentarny). Wewnątrz budynku parlamentu, leżącego na wzgórzu *Capitol Hill*, można podziwiać portrety wszystkich premierów Australii, co dla nas z Europy jest dość egzotyczne,

bo prawie nikt z nas nie pamięta żadnego premiera Australii. Można posiedzieć sobie w komnatach, gdzie obraduje na co dzień izba niższa i wyższa parlamentu, i wczuć się w gęstą atmosferę sporów politycznych. Oj, w Australii się nie pieszczą i politycy potrafią dopiec swoim konkurentom. By-

Tidbinbilla Park

A co słycać w terenie, poza Canberą? Po zwiedzaniu stolicy Australii, co nie jest szczególnie męczące, można pojechać do parku krajobrazowo-przyrodniczego o trudnej aborygeńskiej nazwie – *Tid-*

wać w zamkniętym ośrodku leczenia dla koali do końca swego życia. Niestety, gdy wypuścisz się na dzikie tereny Australii uważaj na wszelkie dymy pojawiające się na horyzoncie, a także wypadaj, aby raz dziennie śledzić prognozę pogody i alerty przeciwpożarowe.



wało, że obrzucali się mocnymi inwektywami, a wśród nich były wyrazy takie jak: świnia, idiota, niedorajda, błazen, gość z intelektem przestępczym. Sam budynek ma nowoczesną konstrukcję, widać w nim wszystko na wskroś, nic do ukrycia, bo budowano go zgodnie z obowiązującą zasadą transparentności i przejrzystości.

Z kolei przed budynkiem starego parlamentu, lśniącego nieskazitelną bielą, swoją „ambasadę” mają Aborygeni i starają się podkreślić, że ten kraj należy do nich, a jedynym terrorystą jest australijski rząd, który odebrał im suwerenność. Nawet jeśli to prawda, to nikt braci Aborygenów nie rusza i mogą sobie w takim newralgicznym miejscu koczować ile wlezie.

Jednym z moich ulubionych miejsc w Canberze był *War Memorial* – monumentalny i solidny budynek, w którym jest muzeum australijskich ofiar poległych w wielu wojnach toczonych przez Australię na różnych kontynentach i ściana płaczu z nazwiskami ofiar. To podziękowanie dla dawnych i współczesnych bohaterów Australii, a nawet hołd oddany zwierzętom: psom, koniom i osłom służącym w armii. Pięknie urządzone miejsce, mnóstwo ekspozycji i pokazanych w sposób nowoczesny, super aranżacje i muzyka. Nawet jeśli ktoś nie przepada za takimi miejscami, będzie tutaj zadowolony. Można w tym muzeum siedzieć całutki dzień. Sal wystawowych jest tyle, że można się zgubić, jeśli zwiedza się grupą, więc dobrze jest ustalić sobie wcześniej jakieś miejsce zbiórki. Dla mnie dziwnym i odkrywczym okazał się w sumie prosty fakt, że żołnierze australijscy walczyli we Francji podczas I wojny światowej.

binbilla, w którym można podziwiać australijską przyrodę i unikatowe zwierzęta żyjące na łonie natury. Poza kangurami są emu, koale i dziobaki, ale zanim dojdiesz na te miejsca specjalnym szlakiem dla wędrowców, uważaj na węże grzejące się na rozgrzanym asfalcie drogi. W parku można zaobserwować niezagojone jeszcze rany po wielu pożarach buszu, które jak napalm z siłą huraganu przetaczały się przez lasy eukaliptusowe i nawet samą Canberę. Wszyscy na pewno pamiętamy straszne i wstrząsające sceny z telewizji pokazujące szalejący niedawno ogień w tej części kontynentu i poranione, poparzone koale, których zginęło 300-400 sztuk. Po jednym z takich pożarów słynna na całą Australię stała się koala, która jakimś cudem przetrwała pożar, ale dużą część ciała miała poparzoną. Choć nazwano ją *Lucky*, czyli *Szczęściarą*, musiała przeby-

Kierunek: Wschód

Po kilku dniach spędzonych z naszą cudowną Zofią, udaliśmy się na dworzec autobusowy i wpakowaliśmy się z naszymi manelami do autobusu, który po 3-4 godzinach zawiózł nas do Sydney. Na trasie niewiele się działo, aż nam było tęskno do pełnych wrażeń i dynamiki samochodowych eskapad z naszą Zosią. Kolorytu dodawała im zawsze obecność jej syna, który często podróżował wciśnięty między nami na tylnym siedzeniu i w połowie po polsku, a w połowie po angielsku usiłował ingerować w wybory drogowe swojej rodzicielki. Głównie krytykował, że Zosia obrała złą drogę, że powinna skrócić w lewo lub w prawo, a ich przekomarzenia były prze-zabawne i wprawiały nas w dobry nastrój. Jeśli to syn nakazał jazdę określoną drogą, to mama oponowała i protestowała: „ależ Mirek, dlaczego tą drogą każesz mi jechać? Przecież źle jedziemy! Dlaczego?” – zaliła się, ale Mirek zawsze odpowiadał z niewzruszoną miną: „Mom, be quiet... because I said so”. Oboje byli dla nas bardzo mili, pomocni i uczynni, za co serdecznie dziękujemy! Byliście cudowni!

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do Sydney, a po rozgoszczeniu się w naszym apartamencie położonym w samym centrum niedaleko słynnej opery i *The Bridge*, zabieramy ręczniki i grzejemy U-berem na słynną, najlepszą miejską plażę *Bondi Beach*, pełną drobnego piasku, a klimatem przypominającą trochę Europę... ■

